

Mrugałem oczami, oślepiony światłem. Podłoga w mojej pracowni była zasłana strzępami wydartych z książki kartek oraz potłuczonym szkłem. Stół leżał do góry nogami niczym martwy karaluch. W rogach pokoju kłębiły się tumany dymu i kurzu. Kawałek nadpalonej stronicy sfrunął spod sufitu i opadł na ziemię tuż obok mnie. Sięgnąłem po niego. Był to fragment pracy Prattshawa opisujący efekty kontrafuzji.

Pirotechnika zadziałała. Magia przemówiła do mnie znowu i to bez locusa magicalicusa! Ale co powiedziała?

Usłyszałem spieszne kroki Nevery'ego na schodach. Gwałtownie otworzył drzwi.

– Do licha, chłopcze! – wrzasnął. – Co ty wyprawiasz?

Zakaszlałem, wytrząsałem z włosów odpryski szkła i wstałem z podłogi.

– Tylko malutki eksperyment pirotechniczny – mruknąłem.

Przyjrzałem się swojej uczniowskiej szacie. Miała trochę więcej śladów przypalenia niż poprzednio. Nevery skrzywił się.

– Eksperyment pirotechniczny. Myślałem, że masz więcej rozumu. – Opuścił swoje krzaczaste brwi na oczy. – A skąd wzięłeś wolne srebro, hm?

Wzruszyłem ramionami.

Znowu rozległy się kroki i w progu, za plecami Nevery'ego, stanął Benet, jego służący i ochroniarz w jednej osobie. Na czerwonej, zrobionej na drutach kamizelce Beneta, na jego koszuli i rozplaszczonym od ciosu pięścią nosie widniały smugi mąki. Najwyraźniej oderwał się od zagniatania ciasta.

– Nic mu się nie stało? – zapytał.

– Nic – zapewniłem. – Nevery, magia znów przemówiła do mnie.

– Przemówiła? A więc pirotechnika zadziałała... Miałaś rację. Ciekawe. Co powiedziała?

– Brzmiało to tak... – Czy wydawało mi się, że magia była przerażona? Ale dlaczego?

Wyrecytowałem Nevery'emu to, co magia powiedziała:

*Damrodellodesseldeshellarhionvarliardenliesh.* – Czy znasz takie zaklęcie?

– Nie, chłopcze. Nigdy go nie słyszałem – powiedział Nevery. – Hm. Powtórz to jeszcze raz.

Powtórzyłem, tym razem wolniej.

Szarpnął koniec brody i zmarszczył brwi, chociaż tym razem nie dlatego, że był na mnie zły. Mruknął coś niewyraźnie pod nosem.

– Kolacja gotowa – oznajmił Benet i ruszył w stronę schodów.

– Chodźmy, chłopcze – rzekł Nevery.

Wyszliśmy z domu i ruszyliśmy przez dziedziniec przed Heartsease. Laska Nevery'ego postukiwała głośno o kocie łby.

Heartsease błyszczało w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Dwór został wzniesiony z piaskowca, miejscami przyczernionego sadzą. Znaczna część domu była jednak w ruinie, jakby ktoś cisnął weń ogromnym głazem i zrobił gigantyczną wyrwę na samym środku. Dach został zmieciony, a kamienne bloki i kolumny rozsypały się. Po latach na gruzach wyrosły krzewy róż i bluszcz. W jednej z ocalałych części domu znajdowała się moja pracownia, natomiast gabinet Nevery'ego, kuchnia, spiżarnia, pokój Beneta i moje lokum na poddaszu mieściły się w drugim skrzydle.

– Nevery, skąd się wzięła ta dziura na środku Heartsease? – zapytałem.

Nevery rzucił mi jedno ze swoich przenikliwych spojrzeń.

– Pytanie bardzo *a'propos*, chłopcze.

Kiwnąłem głową.

Zatrzymał się i wsparł się na lasce.

– Posłuchaj, chłopcze. Przyznaję, że ja również swego czasu eksperymentowałem z pirotechniką. Ale ostrzegam cię. Moje doświadczenia zakończyły się dwudziestoletnim wygnaniem z Wellmet. I takie próby – tu wskazał laską na moją pracownię – mogą cię wpędzić w poważne tarapaty, jeśli nie będziesz bardziej ostrożny. – Odwrócił się i ruszył przez dziedziniec.

Wygnanie. Nie chciałem podejmować takiego ryzyka. Ale mój locus magicalicus rozsypał się w błyszczący pył. To pozbawiło mnie szansy rozmowy z magią, chociaż czułem, że ona przez cały czas mnie obserwuje. Nie miałem więc wyboru: musiałem zajmować się pirotechniką, przynajmniej do czasu znalezienia drugiego locusa.

Ruszyłem za Neverym, ale nagle kątem oka dostrzegłem coś czarnego. Od zeszłej zimy, odkąd zniszczyliśmy wraz z Neverym urządzenie Pana Podziemi i uwolniliśmy magię z niewoli, na dużym drzewie rosnącym na samym środku dziedzińca nie pojawiały się czarne ptaki. Teraz jednak coś się zmieniło. Na samym czubku drzewa, na najwyższej gałęzi przysiadł jeden mroczny cień i zerkał na mnie błyszczącymi, żółtymi ślepiami.

– Witaj, ty tam na górze – zawołałem.

Ptak poruszył się na gałęzi, zakrakał i popatrzył w inną stronę.

Tylko jeden ptak. Może magia przysłała go znowu, żeby miał na wszystko oko? Może przyciągnęła go eksplozja? Czy pozostałe ptaki również wkrótce nadlecą? Nevery stał w łukowato zwieńczonych drzwiach domu.

– Chodź, chłopcze – przywołał mnie.

– Patrz, Nevery – krzyknąłem, pokazując mu czubek drzewa.

Nevery wyszedł, kulejąc, na dziedziniec i zadarł głowę, żeby spojrzeć na górne gałęzie drzewa.

– Na co mam patrzeć? – zapytał. Zapadła już noc i czarny ptak w ciemnościach stał się niewidoczny.

Trudno. Mistrz mruknął coś i wrócił do domu.

Wszedłem za nim wąskimi schodami do kuchni. Benet nakrył już do kolacji.

Pociągnąłem nosem w nadziei, że wyczuję zapach biszkoptów i bekonu. Ryba i... – rzuciłem okiem na stół – ...duszone jarzyny, pikle i chleb. Mniam! Zdjąłem szarą szatę, jaką nosili uczniowie czarodziejów, powiesiłem ją na haczyku przy drzwiach i usiadłem przy stole obok Nevery'ego.

Benet postawił na stole słoik.

– Dżem – powiedział i wrócił do kuchenki. Zdjął patelnię z ognia i położył na każdym talerzu parującą, ościstą rybę. Potem odstawił patelnię, usiadł przy stole i zabraliśmy się do jedzenia.

– Będziesz jeszcze to robił? – zapytał mnie Benet i wskazał brodą moją pracownię.

Kiwnąłem głową i wyjąłem ość z ryby. Poczułem na sobie karcące spojrzenie Nevery'ego. I nagle zrobiłem się jakby mniej głodny.

Nevery skrzywił się i pociągnął długi łyk piwa.

– Nie, nie będzie już tego robił. – Wycelował we mnie widelec. – Jeżeli mistrzowie dowiedzą się, że przeprowadzasz eksperymenty pirotechniczne, chłopcze, to wyrzucą cię z miasta, zanim się obejrzysz. W tej chwili mają na głowie poważniejsze sprawy i nie będą się patyczkować z jakimś krnąbrnym uczniem.

Racja. Powinienem po prostu zachować większą ostrożność.

W milczeniu grzebałem widelcem w jarzynach na talerzu. Rozmyślałem o zaklęciach, jakie usłyszałem od magii. *Damrodelldesseldeshellarhionvarliardenliesh*. Może to ostrzeżenie? Ale przed czym? Powinienem nauczyć się języka magii. Muszę poszukać tego słowa w księgach zaklęć przechowywanych w academicosie. A może części tego słowa.

*Damrodell...*  
*Odesseldesh...*  
*Ellarhion...*  
*Varliarden...*  
*Liesh.*

Ugryzłem kromkę chleba z dżemem, popiłem wodą. Lady zwinęła się w kłębek przy moich stopach. Wsunąłem rękę pod stół i nakarmiłem ją kawałeczkami ryby.

– Woda – powiedział Benet po zakończeniu obiadu.

Złapałem wiadro i pobiegłem na dziedziniec do studni. Potem pomogłem mu pozmywać talerze. Nevery poszedł na górę do swojego gabinetu. Wziąłem jabłko i wszedłem po szerokich, kręconych schodach. Znałem Nevery'ego i wiedziałem, że ma ochotę jeszcze na mnie pokrzyknąć za eksperyment pirotechniczny.

Siedział przy stole i pisał list. Pokój wydawał się bardzo przytulny w różowawym blasku magicznych latarni, które płonęły w kinkietach na ścianach. Wysoki sufit zdobiły bogate sztukaterie, a ściany – wypłowiała, kwiecista tapeta. Podłogę przykrywał wyblakły i zakurzony dywan, a ustawiony pośrodku pokoju stół zarzucony był książkami i papierami.

– Nevery? – rzuciłem pytająco.

– Chwileczkę – mruknął, nie podnosząc głowy.

Ugryzłem jabłko i podszedłem do jednego z wysokich okien. Wychodziło na Zmierzch, czyli tę część miasta, w której się wychowałem. Niebo nad Zmierzchem miało odcień ciemnego fioletu, przechodzącego u góry w czerń. W stłoczonych wzdłuż wąskich, stromych uliczek domach paliło się zaledwie kilka świateł. Za moimi plecami Nevery przewrócił kartkę na drugą stronę i pisał dalej, metalowa stalówka poskrzypywała o papier.

Zjadłem cały miąższ jabłka, potem pochłonałem ogryzek, a ogonek wyrzuciłem przez okno.

Nevery odłożył pióro i podniósł kartkę do góry, żeby atrament szybciej wysechł.

– Od ubiegłej zimy, od tamtej historii z Panem Podziemi nie chodzisz do szkoły.

Rzeczywiście, nie chodziłem. Nie miałem locusa magicalicusa, więc mistrzowie nie pozwalali mi uczęszczać do klasy uczniów czarodziejów.

Nevery zerknął na mnie spod krzaczastych brwi.

– Musisz mieć jakieś zajęcie, bo inaczej wpakujesz się w tarapaty, chłopcze. Proszę w tym piśmie Brumbee'ego, żeby przyjął cię znowu do academicosu, do klasy czarodziejów. – Złożył list, wyjął swój czarny, lśniący locus magicalicus i wymamrotał zaklęcie pieczętujące. – Brumbee obawia się, że mógłbyś mieć zły wpływ na innych uczniów. – Wręczył mi list. – A ja spodziewam się, że naprawdę będziesz wywierał zły wpływ na innych uczniów. Masz kamień-klucz?

Chodziło mu o kamień, który otwierał magiczne zamki w bramach, zamykających tunele pomiędzy wyspami czarodziejów. Kiwnąłem głową.

– To dobrze. Zanieś to do Brumbee'ego. Nie rozmawiaj z nikim innym. I poczekaj na odpowiedź.

Brumbee siedział przy długim stole w sali przyjęć mistrzów. Pisał coś w książce. Jego locus magicalicus leżał przed nim na półmisku, wśród rozłożonych wszędzie wokół książek i papierzysek.

Stanąłem w progu i czekałem, aż Brumbee mnie zauważy. Bywałem już dawniej w pokoju przyjęć mistrzów. Raz pod postacią kota, żeby ich szpiegować; drugi raz, kiedy mieli wyrazić zgodę na to, żebym został uczniem Nevery'ego i dali mi trzydzieści dni na znalezienie locusa magicalicusa; i wreszcie trzeci raz po zniszczeniu Domu Mroku i

straszliwego urządzenia, skonstruowanego przez Crowe'a i Pettivoxa, żeby uwięzić magię miasta. Wówczas mistrzowie spierali się o to, co właściwie zaszło w podziemnym laboratorium Crowe'a i besztali mnie za utratę locusa magicalicusa. Zdawali się nie pojmować, że zniszczenie tego urządzenia przywróciło właściwe funkcjonowanie miejskiej magii, choć teraz była słabsza niż poprzednio. Przynajmniej tak twierdził Nevery. Codziennie własnoręcznie skonstruowanym licznikiem mierzył poziom magii i odkrył, że wartość utrzymuje się na stałym, niezbyt wysokim poziomie. Martwiliśmy się tym, bo podejrzewaliśmy, że, być może, urządzenie Crowe'a wyrządziło magii jakąś krzywdę. Powiedziałem mistrzom, że magia to żywa istota, która chroni miasto. Zareagowali tak, jakbym przeprowadził w ich obecności eksperyment pirotechniczny.

Kiedy do pokoju pełnego rozwrzeszczanych mistrzów wrzucić jakąś nową ideę, efekt będzie identyczny jak po połączeniu wolnego srebra z turmalifiną. Nastąpiła więc gwałtowna eksplozja. Wykrzykiwali, że jestem ignorantem z rynsztoka, który kompletnie nic nie wie.

– Ależ wiem – zapewniałem. – Magia przemówiła do mnie. Zawsze mnie chroniła i chroniła też miasto. To nie jest rzecz, którą można się posługiwać. To żywa istota, która potrzebuje naszej pomocy.

To stwierdzenie również im się nie spodobało. Krzyczeli, skrzeczeli, piszczeli i na koniec oznajmili, że nie mogą już być uczniem czarodzieja.

– Jesteście głupi! – wrzasnąłem w odpowiedzi.

Nevery wyprawił mnie za drzwi, więc stałem na korytarzu, trzęsąc się ze złości. Wydawało mi się, że w środku mojego serca ziejie dziura po utraconym locusie magicalicusie. Słyszałem podniesiony głos Nevery'ego, zatroskany Brumbee'ego i ostre, kłótniwe głosy innych czarodziejów.

– O co chodzi, Conn? – Brumbee odłożył pióro i patrzył na mnie znad książki.

Podszedłem i podałem mu list od Nevery'ego.

Otworzył go zaklęciem i przeczytał, kręcąc głową.

– Ojej – wymamrotał. Nie odrywając wzroku od kartki, machnął na mnie ręką. – Usiądź, napiszę odpowiedź.

Mój drogi Nevery,

Kiedy w zeszłym roku przyjąłeś Conna na ucznia, uznałem, że wyciągając chłopca z rymsztoków Zmierzchu, spełniłeś dobry uczynek. Teraz już nie jestem tego taki pewien.

Jego poglądy na magię są po prostu szokujące. Magia jako żywa istota? Zaklęcia jako sposób komunikowania się z nią? Nevery, musisz wybić mu z głowy takie pomysły. I bez tego mamy dość kłopotów z tajemniczymi osobnikami, którzy kręcą się wokół Pałacu Brzasku i z niezrozumiałymi atakami na mieszkańców Wellmet. Zdasz sobie sprawę równie dobrze jak ja, że skoro żywi ludzie zmieniają się w kamienne posągi, dzieje się tak dzięki działaniu magii! Od kilku tygodni wertuję historyczne zapiski, szukając w przeszłości precedensu dla tego rodzaju magicznego ataku. Nie odkryłem niczego. To bardzo poważny problem.

Wróćmy jednak do młodego Conna. Widzę, że źle się czuje ze świadomością, iż w zeszłym roku naraził nas na konsternację swoimi dziwacznymi teoriami i kłopotami Pana Podziemi.

Stoi cicho i pokornie przy drzwiach sali przyjęć, czekając, aż skończę list do Ciebie. Proponowałem, aby usiadł, ale odmówił. Obawiam się, że tym razem nie możemy przyjąć go z powrotem do Akademikosu. Jego pomysły mogłyby zamieść w głowie pozostałym studentom. Na przykład, mój nowy uczeń, Keeston, wygaduje o magii różne niepokojące bzdury. Nie możemy dopuścić, aby Conn uczęszczał do klasy z innymi uczniami czarodziejów. Zresztą, gdybyśmy nawet zgodzili się go przyjąć, nie posiada Locusa Magicalicusa, więc nigdy nie zostanie czarodziejem.

To doprawdy wielka szkoda. Wydaje się dobrym chłopcem, pomimo swoich dziwacznych pomysłów i kłopotów, jakich narobił nam w ubiegłym roku.

Twój

Brumbef A., mistrz

Rektor Akademikosu w Wellmet